NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 25 Katowice, 18-go czerwca 1933

Niedziela druga po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z listu św. Jana, rozdział III., wiersz 13—18.

Najmilsi! Nie dziwujcie się, jeśli was świat nienawidzi. My wiemy, iżeśmy przeniesieni z śmierci do żywota, gdyż miłujemy bracią. Kto nie miłuje, trwa w śmierci; każdy, co nienawidzi brata swego, mężobójca jest. A wiecie, iż wszelki mężobójca nie ma żywota wiecznego w samym sobie trwającego. W tem myśmy poznali miłość Bożą, iż On duszę swoją za nas położył; i myśmy powinni kłaść duszę za bracią. Ktoby miał majętność świata tego, a widziałby, że brat jego ma potrzebę, a zawarłby wnętrzności swe przed nim, jakoż w nim przebywa miłość Boża? Synaczkowie moi! nie miłujmy słowem ani językiem, ale uczynkiem i prawdą.

EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdział XIV, wiersz 16—24.

W on czas: Mówi Jezus do faryzeuszów tę przypowieść: Pewien człowiek wydał wielką ucztę i zaprosił wielu. A tuż przed ucztą wysłał swego sługę, by powiedział zaproszonym: Chodźcie, bo wszystko już gotowe. Wszyscy jednak zaczęli się jednocześnie wymawiać. Pierwszy mu rzekł: Kupiłem wieś; muszę więc pójść i obejrzeć ją; proszę cię, miej mię za wytłumaczonego. A drugi powiedział: Kupiłem pięć par wołów i idę je wypróbować; proszę cię, miej mię za wytłumaczonego. Jeszcze inny mówił: Pojąłem żonę i dlatego przyjść nie mogę. — Sługa tedy, powróciwszy, doniósł o tem panu swemu. Wtedy gospodarz rozgniewany, rzekł do sługi swego: Wyjdź natychmiast na ulice i zaułki miasta, i sprowadź tu ubogich i kaleki i ślepych i chromych. A sługa powiedział: Panie, stało się, jakoś rozkazał: — ale jeszcze jest miejsce. — I rzekł Pan słudze: Wyjdź na drogi i między opłotki, a przymuszaj, by wstąpili, aby dom mój był pełen. Albowiem powiadam wam, że żaden z tamtych mężów zaproszonych nie zakosztuje uczty mojej.

Nauka niedzielna o wymówkach od częstej Komunji św.

Uczta jest gotowa: jedna na ziemi w Komunji świętej, druga, jako owoc pierwszej, to wieczne obcowanie z Bogiem w niebie. Uczta przygotowana jest dla wszystkich, którzy chcą w niej wziąć udział. Nikt nie jest wykluczony, chyba że sam zaproszenie do niej odrzuci dla różnych względów ziemskich.

Stół Pański zastawiony jest w każdym kościele. Nawet w najuboższych uczta jest wspaniała, bo pożywać się w niej daje sam Bóg - Człowiek pod postacią chleba.

Iluż jednak stroni od tej uczty? Nie biorą w niej udziału, lub tylko bardzo rzadko, nie doceniając wartości pokarmu anielskiego dla duszy. Zapominają, że to chleb mocnych, że rodzi on świętych. Gdyby ludzie wierzyli mocno, że Komunja św. to zjednoczenie się ścisłe, osobiste z Bogiem, Stwórcą, Panem, Odkupicielem i Ojcem najlepszym, nicby nie zdołało oderwać od pożywania Chleba eucharystycznego, a gdyby mieli wielką przeszkodę, to żywem pragnieniem przymusiliby Stwórcę, by im go cudownie zesłał jak św. Stanisławowi Kostce.

Od udziału w uczcie eucharystycznej wymawiają się ludzie podobnie jak owi ewangeliczni zaproszeni.

„Kupiłem wieś, idę ją oglądać". — „Kupiłem woły, idę je próbować". — „Żonę pojąłem, nie mogę przyjść". Oto wymówki, pozory raczej, bo wieś można było oglądnąć wczoraj lub jutro, woły można wypróbować w każdy dzień, miłość do żony nie osłabłaby także z powodu kilku godzin nieobecności.

Takie same wymówki mają ludzie dzisiaj: Nie mam czasu, bo rano muszę pracować w domu, posprzątać, przygotować jedzenie, dzieci ubrać, muszę wyjść w pole na robotę, stanąć na termin przy swoim warsztacie lub przy biurku i tak dalej. — To wszystko prawda. Obowiązki są niewątpliwie pierwsze a nadobowiązkowe praktyki pobożne trzeba postawić na drugiem miejscu. Czy jednak częstsza Komunja święta nie da się pogodzić z licznemi nawet obowiązkami? Czy nie można znaleść w miesiącu dnia, by pójść do spowiedzi i Komunji św.? Czy niedziele i święta nie na to są, by mieć wolną chwilę dla duszy? Dołóżmy trochę pilności i gorliwości o chwałę Bożą i zbawienie własne, a czas się znajdzie.

Lenistwo i niedbalstwo to główne powody, że ludzie stronią od Komunji św. i z nich płyną najliczniejsze wymówki.

Wielu nie przychodzi do niebiańskiej uczty z fałszywego wstydu. Co ludzie powiedzą? Będą mnie uważać za dewota, pobożnisia. Nie wstydzi się wielu złych rzeczy, a wstydzi dobrych. Czy to nie jest nagany godne i brzydkie?

„Kupiłem wieś, — kupiłem woły, — żonę pojąłem", nie mam na nic innego czasu. Ileż w tem tkwi przywiązania do ziemi, do wszystkiego, co ona zmysłom daje. Tu jest właściwie najgłębsza wymówka. Komunja święta częstsza wymaga zrzeczenia się tego zupełnego przywiązania do ziemi, żąda wyrzucenia z serca namiętności, żąda pracy wewnętrznej, czuwania nad sobą. To są wymagania dla wielu zbyt wysokie. Wolą dźwigać ten ciężar ziemski i mieć z niego chwilowe zadowolenie i rozkosz zmysłową, niż trudzić się w walce z sobą i odmówić sobie czegokolwiek, by zdobyć trwa-

ły spokój i radość duchową. A szkoda, bo miejsce ich przy uczcie niebiańskiej zajmują inni!

Warto pomyśleć o tem! Dopóki życie trwa, zawsze można stracone miejsce odzyskać.

Pójdźmy wszyscy na gody! Stół bogato zastawiony czeka każdego dnia! Szczerem sercem starajmy się usunąć przeszkody wewnętrzne w duszy i zewnętrzne w naszych codziennych stosunkach.

„Jeślibyście nie jedli ciała Mojego i nie pili Krwi Mojej, nie będziecie mieć żywota w sobie" — zagroził obojętnym i leniwym najmiłosierniejszy Zbawiciel. — Amen.

Pobożne postanowienia.

Miesiąc czerwiec poświęcony jest w Kościele św. czci Najświętszego Serca Jezusa. I my, kochani czytelnicy, nie ustawajmy w oddawaniu czci należnej Najśw. Sercu Jezusowemu, z którego strumienie łask na świat cały spływają. Ożywmy w sercach naszych miłość ku Boskiemu Zbawicielowi naszemu. Jego kochajmy, Jemu się oddajmy, dla Niego żyjmy. Wystrzegajmy się grzechu, jak największego złego; módlmy się o nawrócenie w grzechach trwających, a spełniajmy uczynki miłosierne, a to wszystko dla Najśw. Serca Jezusa. — Szukajmy w niem pociechy w utrapieniach, siły i pomocy w walkach naszych. O! bo to Serce Najświętsze jest niewyczerpanem źródłem łask wszelkich: śpieszmy, śpieszmy do Niego!

O użyciu czasu.

Czas, to pieniądz. Zaprawdę, za mało przez to powiedziano. Pieniądz utracony jeszcze można odzyskać, czasu — nigdy. Każda chwila, którąś zmarnotrawił, przepada bezpowrotnie. Jakże to możliwem, że właśnie najwięcej marnotrawimy czasu, tak, jak gdyby to życie nigdy nie miało się skończyć, jak gdybyśmy nic nie mieli do czynienia? — Gdyby ktokolwiek z potępionych uzyskał choć godzinę tylko czasu i mógł na ziemię wrócić, jakżeby go dla pożytku swego użył! Ani chwila nie mija w życiu ludzkiem, którąby nie mogła stanowić o zbawieniu naszem; jest więc lekkomyślnością, wręcz grzechem, nie korzystać z czasu, ale marnotrawić go, jak gdyby nie miał żadnej, a żadnej wartości.

Cóż jest droższego nad czas? W mocy naszej jest tylko teraźniejszość, obecne mgnienie oka, nic więcej; przeszłość przepadła na zawsze, przyszłość jest zakryta przed oczyma naszemi. Dla tego tylko możemy korzystać z chwili obecnej. Zrozumiejmy więc znaczenie czasu i używajmy go tak, abyśmy mogli kiedyś przed Stwórcą naszym zdać rachunek z niego. Lepiej królestwo całe, niż dzień jeden stracić. A gdyby dzień ten był ostatnim w życiu? Natenczas lepiej stracić świat cały, niż ponieść szkodę na duszy, nigdy niepowetowaną. Dla tego czyńmy dobrze, dopóki jest dzień; gdy noc nadejdzie, do pracy już nie czas.

A. Piotrowski.

Ksiądz Paweł.

4) (Ciąg dalszy.)

Nagle zoczyła przed sobą dachy zabudowań wyłaniających się z za pagórków, iskrzącą się w słońcu wieżyczkę kościółka — a bliżej przed nią całą szerokością rozciągał się na szczęście nie ścięty jeszcze łan zboża...

Nie myliła się — przewidywała, że koń wpadnie w żyto... Kłosy jakby podcięte poczęły skłaniać swe główki po obu stronach, a arab rył sobie przejście niezmordowanie pośród zwartej masy, — tworzył szerokie koryto. Rozpierał, wdzierał się piersią, torując sobie drogę, zalany potem, okryty pianą, dziki, z krwawemi nozdrzami...

Lecz powoli zaczął słabnąć, opuszczały go siły... Dyszał ciężko, robił silnie bokami, wreszcie — wydostawszy się ze zwartej sieci, dopadł drogi i ostatkiem sił, wciąż jeszcze spłoszony, galopem zbliżał się ku probostwu...

Lili widziała jak przez mgłę dwóch ludzi — w jednym poznała proboszcza, drugiego nie znała. Stali nad drogą i rozmawiali snać z zajęciem, o czem świadczyła żywa giestykulacja rąk... Jeszcze raz otworzyła przemocą oczy — ujrzała człowieka biegnącego środkiem drogi — uśmiechnęła się, szczęśliwa, że jest uratowaną, a potem odczuła gwałtowne wstrząśnienie, zdało się jej, że leci gdzieś błyskawicznie w przepaść, tocząc się po stromym zboczu coraz głębiej i głębiej...

Chciała krzyczeć, lecz głos zamarł jej w krtani, ogarnął ją mrok nieprzenikniony...

III.

— I co Janie, jak się czuje nasza pacjentka? — zawołał ksiądz Paweł, wchodząc do gabinetu.

Jan w odpowiedzi przyłożył palec do ust.

— Jeszcze bezprzytomna — odparł cicho.

— Hm, hm, ciężkie omdlenie — kręcił głową dziekan — próbójno mój kochany jeszcze czegoś z tych medykamentów! — powinno pomóc.

— To zbyteczne, niedługo otworzy oczy... — Słyszałem westchnienie...

Ksiądz Paweł zbliżył się do okna i spojrzał do ogrodu. Ujrzawszy tam pomiędzy rzędami kwiatów psa goniącego kury, które uciekały z trwożliwem gdakaniem, zapomniał na chwilę o zachowaniu ciszy i z całego gardła huknął:

— Hektor!... Do nogi!... Idziesz?!..

Jan doskoczył ku księdzu, chwycił go za ramię z wyrazem rozpaczy w swej pięknej, męskiej twarzy:

— Dziekanie!... ciszej!...

Oczyma dał do zrozumienia, o co mu chodzi, skierowawszy w tej chwili wzrok na rozłożoną leżankę ogrodową, w której spoczywała Lili, zobaczył jakiś podejrzliwy ruch bezwładnego dotąd ciała — i jednocześnie podniosła się głowa, otoczona jasnym wieńcem bujnych włosów; czarne, bystre oczy wpatrzyły się ciekawie w otoczenie — zdumiony odblask, który w nich drgał iskierkami — świadczył o zaniku pamięci z przeżytej niedawno przygody. Gdy pan Jan się zbliżył ku niej, widocznie świadomość jej nagle wróciła, a ujrzawszy księdza Pawła — dziwna rzecz — uderzyła w srebrzystą kaskadę śmiechu...

Jan i dziekan spojrzeli po sobie, a przejęty nagłem uczuciem przestrachu ksiądz, szepnął beznadziejnym głosem:

— Masz tobie! nowy kłopot!... — zwarjowała!

Młodzieniec zdawał się również podzielać myśli proboszcza, bo skinął tylko głową bez słowa.

A tymczasem panna śmiała się zupełnie naturalnie w najlepszym humorze, czem się wnet ksiądz Paweł zaraził i — zawtórował swoim grubym basem.

— Śmiej się i ty Janie... zobaczymy co z tego będzie!...

I Jan rzeczywiście musiał się śmiać, nie jednak na wyrażone życzenie, lecz z komicznej sytuacji, jaka się wytworzyła. Wnet jednak opanował się, zbliżył się ku Lili i rzekł, delikatnie ją karcąc, z odcieniem pewnej wyższości:

— Przypuszczam, że to co pani przed chwilą przeżyła, nie powinno panią pobudzać do śmiechu! Sprawa przedstawiała się o wiele poważniej, a nawet niebezpiecznie!

Panna zmieszała się. Na twarzy jej ukazały się dwie plamy.

— Proszę mi wybaczyć... lecz... naprawdę — jąkała się — widzi pan, pewna rzecz jest dla mnie śmieszna...

— Nie widzę w niczem coś śmiesznego — odparł tym samym tonem młodzieniec.

Powstała z leżanki i wyciągnęła rękę.

— Przedewszystkiem muszę wiedzieć, komu mam do zawdzięczenia swoje życie... Jestem córką właściciela Grzybowa, Sadowiczówna Lili...

— A ja! — ukłonił się Jan z galanterją — jestem synem byłego właściciela Grzybowa... nazwisko moje: Grzybowski Jan.

— Ach! — krzyknęła zmieszana Lili, a po chwili dodała — doprawdy, — jakie dziwne kółko się wytworzyło! Jeszcze należycie nie mogę pojąć, jak się to wszystko właściwie stało!

— Pani będzie łaskawa spocząć i zbytnio się nie przemęczać, ponieważ osłabienie jeszcze zbyt wielkie!... proszę...

Ksiądz Paweł obserwował tę scenę w milczeniu, lecz w końcu chrząknięciem dał znać o sobie, że przecież i on istnieje, a jako gospodarz ma obowiązek ugościć przypadkowego gościa; wydał więc odpowiednie polecenia gospodyni, która wnet nakryła stół do śniadania i postawiła przed dziewczyną szklankę wina.

— Proszę — rzekł ksiądz Paweł — niech się panienka najpierw posili...

Oczy jej pełne blasku spoczęły na dobrotliwie uśmiechniętej twarzy dziekana, o którym przecież tak dużo słyszała i który był z tej przyczyny przedmiotem jej zainteresowania. Dziwny wypadek — myślała — sam jej narzucił tę osobistość pełną naturalnego wyrazu, dobroduszną, a przytem skorzystała jeszcze — zawarła znajomość z wcale sympatycznym, młodym człowiekiem, który się nią czule zajmował i łożył starania, aby zbudzić z ciężkiego omdlenia, o czem świadczyły butelki i proszki na stoliku. Przyjrzała się uważniej młodzieńcowi. Poważny jego profil, o regularnych rysach, wyrażały stanowczość, silną wolę i, rzecz najważniejsza był naprawdę — bardzo ładny!.. A przedewszystkiem ujmujący, dźwięczny głos męski, oczy pełne wyrazu, długie, białe arystokratyczne ręce, czyniły go typem niepowszednim... Porównywała go w myśli z mężczyznami, z którymi spotykała się podczas studjów, lecz żaden z nich nie był godzien stanąć z nim w szeregu i walczyć o zdobycie palmy pierwszeństwa, którą bez wielkiego namysłu ofiarowałaby — swojemu wybawcy...

Trwając w głębokiem zamyśleniu nie odpowiedziała nawet na kilka stawianych pytań przez Jana, co widząc ksiądz Paweł chrząknął parę razy, a gdy i to nie pomogło uderzył w tabakierkę i zcicha zapytał Jana:

— Jak jej na imię?...

— Lili — odpowiedział tym samym tonem chłopak, lecz wymówił je jakoś dziwnie słodko.

— Lili... Lili... Panie odpuść! Takiego świętego nie znajdziesz w całym kalendarzu! Wprawdzie niejedna panna błogosławiona nosi w ręku lilję, ale żeby się tak zwała... hm... hm...

I nagle pod wpływem naszłego nań humoru, głośniej dodał:

— Cobyś Jaśku powiedział, jakbym cię Mopsem nazwał albo Azą — czy innem psiem nazwiskiem wołał, co?...

Panna Lili wybuchła śmiechem; zbudziła się z zamyślenia, a usłyszawszy aluzję do swego imienie nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

— Cóż ja jestem temu winna? — rzekła, przechyliwszy jasną główkę.

— Pewnie, że panna nic nie winna!... — mówił dziekan, chciał jeszcze coś dodać, lecz w tem ktoś silnie zapukał.

— Proszę — zawołał ksiądz Paweł — „Gość w dom, Bóg w dom"!

Drzwi się otwarły i stanął w nich sam — pan Sadowicz, o wybladłej, przestraszonej twarzy, która jednak wnet się wypogodziła, gdy zobaczył córkę uśmiechniętą i wesołą w towarzystwie księdza i młodego człowieka.

Panna Lili zobaczywszy ojca porwała się z miejsca.

— Serwus papo!...

A papa odetchnąwszy głęboko, rzekł z wymówką:

— Niewdzięczna i niegrzeczna dziewczyno!... Omal nie umarłem z przerażenia, gdy mi donieśli, że spłoszony koń porwał cię w pole!...

— Ale żyjesz — powiedziała wesoło dziewczyna — ja też! A zawdzięczam swoje istnienie tym panom! Papa pozwoli... ksiądz proboszcz i pan Jan Grzybowski, syn poprzedniego właściciela naszego folwarku...

Pan Sadowicz skłonił niedbale głowę, nie podawszy nikomu ręki.

— Bardzo mi przyjemnie — wyrzekł sucho — Przepraszam, że nie zauważyłem... Jestem bardzo wdzięczny!...

— No, no! bez ceremonji mości panie Sadowiczu — zawołał wesoło i z serca ksiądz Paweł — proszę siądź pan do towarzystwa!... Jestem bardzo rad, żeś waszmość zechciał przestąpić próg mej skromnej rezydencji!...

Chwycił pana Sadowicza pod ramię, usadowił na krześle, czem ten w pierwszej chwili ubawiony, w końcu kompletnie rozbrojony wdał się w pogawędkę i — co dziwniejsze zdołał zauważyć, że ksiądz Paweł, o którym głupstwa gadał, jest wcale miłym i sympatycznym, zachowywał się z godnością, świetnie umiał bawić, jest pełen werwy młodzieńczej, której mu naprawdę zazdrościł.

Długo gwarzyli o tem i owem. Nigdy tematu nie brakło, a dzięki wrodzonemu dowcipowi dziekana, byli wszyscy w jaknajlepszym humorze i nikt jakoś nie wspomniał o wyjeździe. Wygłoszono kilka toastów na pomyślność Sadowiczów i Grzy-

bowskich oraz księdza Pawła. Ten wzruszony, Bogu dziękował w duchu za przypadek, który miał miejsce, a tak szczęśliwie się zakończył i przysłużył do znajomości z człowiekiem, o którym słyszał, jako o zacofanym chrześcijaninie, — gardzącym otwarcie kościołem. I sam był mile zdziwiony nagłą zmianą, jako w tak krótkim czasie zaszła w nowym właścicielu Grzybowa; gdy zaś wspomniał mimochodem o swoich zamiarach w związku z upiększeniem kościółka, usłyszał słowa, wypowiedziane szczerze z ust jego:

— Proszę na mnie liczyć — mówił pan Sadowicz — postaram się dołożyć wszelkich sił, aby zamiary księdza zostały wkrótce zrealizowane!...

Nie wiedział ksiądz Paweł, co mu na to odpowiedzieć. Nie spodziewał się bowiem, że sprawa ta, tak nagły obrót przybierze.

— Dziękuję waszmości — odparł wreszcie po chwili.

W końcu trzeba jednak było wracać. Pan Sadowicz z córką pożegnali się i wyszli odprowadzeni przez księdza Pawła i Jana na podwórze.

— Zapraszam księdza dziekana i pana, panie Grzybowski do siebie na niedzielę wieczorem — rzekł pan Sadowicz, gdy się powtórnie żegnali — sądzę, że czasu każdy z was trochę znajdzie, a mnie niezmiernie będzie miło tak drogich gości widzieć u siebie.

Dosiedli powozu, raz jeszcze grzecznie sobie śląc ukłony i po chwili zniknęli za bramą, zdążając w kierunku folwarku.

A panna Lili roześmiana i szczęśliwa, patrząc ojcu w oczy, rzuciła:

— A co papo?... — Nie przydała się ta katastrofa?...

— Dobrze, że szczęśliwie zakończona, a gdyby miała inny obrót, co wtedy?...

— Co wtedy? — powtórzyła — leżałabym ach! nie!... Tak pragnę żyć! Taki świat piękny, cudowny!... A co sądzisz papo o dziekanie, prawda, że inny zupełnie, niż ty przypuszczałeś?...

— W zupełności dziecko!... Sympatyczny i miły, a przedewszystkiem pełen humoru!...

Skręcali na drogę, która prowadziła do dworku. Panna Lili chciała ojca jeszcze o coś zapytać, a właściwie zasięgnąć jego opinji w jednej sprawie, bardziej interesującej dla niej, pod której wspomnieniem rumieniła się cała, lecz stawała się nieśmiałą — rzecz dziwna — z którem to uczuciem się dawniej wcale nie liczyła; w końcu jednak rzekła, jakby od niechcenia:

— A co sądzisz papo... o tym... Grzybowskim..

— Acha ten.. no! zupełnie grzeczny, inteligentny chłopak, wykształcony, przystojny!...

Słysząc tyle pochwał z ust ojca dla człowieka, ku któremu zwróciło się nagle jej serduszko, wybuchła z zapałem:

— Prawda, jaki on śliczny!...

Epilog.

Na tem historja się kończy. Należy dodać jeszcze — o czem zresztą Szanowni Czytelnicy sami się domyślą — że kończy się jaknajpomyślniej. Nie mamy bynajmniej zamiaru zbyt szeroko rozwodzić się nad tem, w jaki sposób się to stało, dodamy jedynie krótko, że w parę miesięcy później, gdy cudna jesień zalała świat swą krasą i niewypowiedzianym urokiem — pewnej niedzieli słonecznej w małym wiejskim kościółku, pobłogosławił ksiądz Paweł związek małżeński Jana Grzybowskiego i Lili Sadowiczówny.

Panna Sadowiczówna w wianie złożyła w ręce swojego męża majątek Grzybów, z którego zamierzał się zupełnie wycofać jej ojciec, wracając do miasta z zamiarem objęcia poprzedniego stanowiska dyrektora banku.

A ksiądz Paweł obecny na uczcie weselnej, pukając w tabakierkę, rzekł do pana Macieja:

— A co Macieju! nie mówiłem?... Nie chciałeś wierzyć, a ja zawsze twierdziłem, że — z pomocą Bożą — jakoś to będzie!...

Opatrzność Boska.

Opatrzność Boska czyli troskliwość objawia się na zewnątrz w ten sposób, że Bóg wszechmocną swą wolę nie tylko utrzymuje świat, ale rządzi nim rozumnie i troszczy się o wszystko. Opiekę Boską nad ludźmi można pogodzić ze złem, jakie panuje na świecie, gdyż zle od Boga szanuje wolną wolę człowieka; jest zaś o tyle mądrym i łaskawym, że potrafi złe obrócić na dobre. Również nieszczęścia, które spadają na ludzi dobrych i złych, a których źródło leży w nadużyciu wolnej woli, dokonanem przez pierwszych rodziców (grzech pierworodny), służą z jednej strony do ukarania i poprawy winnych, a z drugiej do większego udoskonalenia w dobrem ludzi cnotliwych. Kto w ten sposób zapatruje się na cierpienia i nieszczęścia, jakie ludzie ponoszą, ten poddaje się im z pokorą i widzi w nich dowód łaskawości Boskiej.

Liczne są na Śląsku kościoły Opatrzności Boskiej (Provindentia Divina). Rocznik diecezji śląskiej (katowickiej) podaje nam następujące: 1. kościół parafjalny w **Jaworzu** na Śląsku Cieszyńskim z 1802 roku; 2. kościół parafjalny **w Ligocie koło Zabrzega** na Śląsku Cieszyńskim z 1806 roku; 3. kaplica **w Boguszowicach** koło Cieszyna; 4. kościół parafjalny **w Gaszowicach** (powiat rybnicki; 5. kaplica w zamku **w Kończycach Wielkich** na Śląsku Cieszyńskim; 6. kaplica **w Ogrodzonej** na Śląsku Cieszyńskim.

Kulisy antyreligijnego ustawodawstwa Hiszpan'i.

Stopniowo coraz wyraźniej zarysowuje się podłoże bolszewickiej ustawy o wyznaniach i kongregacjach. Realizują się słowa, które przed kilku laty na międzynarodowem zebraniu masonerji przy Rue Cadet w Paryżu wypowiedział delegat hiszpański, zapowiadając bliskie zwycięstwo rewolucji: „W żadnym innym kraju masonerja nie będzie miała tak wielkiego wpływu na politykę, jak w Hiszpanji".

Gdy kortezom przedłożony został projekt prawa o wyznaniach i kongregacjach religijnych, jeden z dzienników madryckich, wydawany przez wolnomularza wysokiego stopnia, napisał: „Ustawa o kongregacjach jest jednem z najważniejszych dzieł republiki. Należy natychmiast zamknąć wszystkie kolegja zakonne".

Na krótko przed debatą nad tym projektem ustawy „Boletin da Grande Loja de Espanha" napisał w artykule pod tytułem „Pasos Perdidos" (Daremny trud): „Mamy w parlamencie wielu wolnomularzy. Jeżeli będą wszyscy głosowali, wiemy jak wypadnie rezultat. Będziemy czujnie śledzili przebieg wszystkich debat. Nadeszły godziny rozstrzygnięć".

 (Ciąg dalszy i dokończenie.)